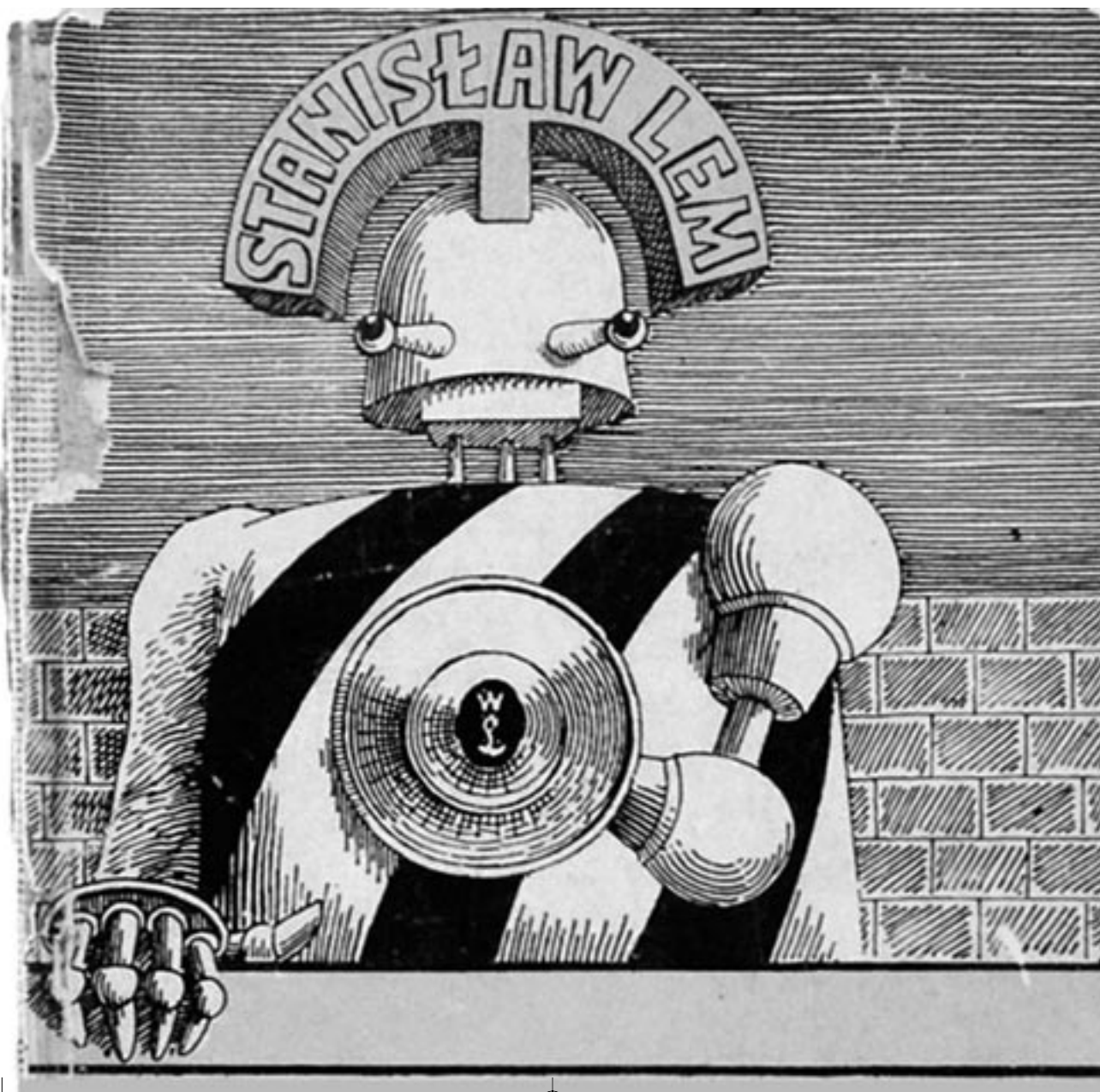


# Książki dziwaczne

Cezary Michalski

DANIEL MRÓZ (ilustr.)  
Stanisław Lem, *Cyberiada* (1965)  
[s. 36, 39, 43]



Nabrałem zwyczaju „zapętlania lektury”, czytania co jakiś czas tej samej książki z porównywalną przyjemnością, a czasami rozpoczynania lektury dosłownie parę dni po jej zakończeniu.

Kiedy zaczynamy czytać jako dzieci, książki, które sami czytamy, zajmują nas początkowo bardziej niż wiedza o tym, czy nasi rówieśnicy czytają książki takie same, w takim samym porządku, wyczytując z nich z grubsza to samo. Ale tak jest tylko przez chwilę, bo później zaczynamy o swoich lekturach rozmawiać z innymi, dopasowując się do innych, negocjując z nimi. Albo nie zaczynamy. Ja o swoich lekturach zacząłem z moimi rówieśnikami rozmawiać stosunkowo późno. I dopiero wówczas się dowiedziałem, jak bardzo były dziwaczne. Byłem jednakiem, nie chodziłem do przedszkola. Podstawowa szkoła muzyczna w Toruniu nie wydobyła mnie z delikatnego nabytego autyzmu. Pierwszą przyjaźń (związek koleżeński?... – precyzowanie określeń nazywających relacje społeczne przychodzi mi z pewnym trudem) nawiązałem w pierwszej klasie z Szymonem Matusiakiem, który był takim samym dziwakiem jak ja. Później, już w liceum i na pierwszym roku polonistyki, na którą jeszcze trafiliśmy razem, stał się jednym z pierwszych polskich „nowofalowców”, współredaktorem wydawanych w Warszawie i Gdańsku punkowych i nowofalowych zinołów. Od niego stosunkowo wcześniej dowiedziałem się o istnieniu Kryzysu i Tiltu. Potem Szymon Matusiak został na parę lat świadkiem Jehowy, w apogeum nawet „biskupem” tego wyznania na sporą część Pomorza. Dziś, kilkanaście już lat po gwałtownym zerwaniu z „braćmi”, współpra-

cuje z urzędem zajmującym się monitoringiem religijnych sekt (taką wiedzę o nim mogłem przynajmniej zgromadzić za pomocą Internetu). Krótko mówiąc, klasyczna połamana biografia dziwaka wciąż próbującego „integrować się” z czymś nieco bardziej od niego „społecznym” i „obiektywnym”. I wciąż bez sukcesu. Biografia trochę taka jak moja. Jego ojciec wyjeżdżał czasami na Zachód, co było jednak rzadkością za wczesnego Gierka. Przywoził mu komiksy z superbohaterami, ociekające przemocą i seksem, oczywiście aluzyjnym, w wydaniu dla dziewięciolatków, przejawiającym się zwykle w sylwetkach superbohatek obdarzonych gigantycznymi biustami, wąskimi kibiciami i szerokimi biodrami, ubranych w ciasno przylegające do ich ciał jednoczesiowe, zapinane na suwak kostiumy. Ja moich lektur chyba mu nie pokazywałem.

A były dziwaczne. Nie przeczytałem we właściwym wieku ani żadnych bajek (poza Bajkami robotów), ani Doliny Muminków, ani Hobbita, ani Niziurskiego, ani Adama Bahdaja (jedyny wyjątek to Uwaga, czarny parasol tego ostatniego, koniecznie „ze słębną łączką”). Niziurskiego ani reszty Bahdaja nie przeczytałem nigdy, co skutecznie – właściwie aż do dzisiaj – wyklucza mnie ze wspólnoty polskich chłopców. Ale także o istnieniu dziewczynskiej literatury w rodzaju Zaczarowanego ogrodu czy Piotrusia Pana dowiedziałem się dopiero od Agaty Bielik-Robson, a więc za późno na uzupełnienie braków (z wyjątkiem może Piotrusia Pana, ale przeczytanie go po raz pierwszy grubo po trzydziestce nie jest powodem do dumy). Dolinę Muminków i Hobbita przeczytałem dopiero jako 17-18-letni hipis, żeby móc zrozumieć moich „braci i siostry”. Oni te lektury mieli uwewnętrznione, poprzez nie kodowali swoje komunikaty dla ludzkości i jako jeden z nich coś musiałem z tym zrobić, musiałem się update’ować.

+

Co zatem czytałem? Od naprawdę wczesnego dzieciństwa aż do trzeciej klasy liceum czytałem wyłącznie literaturę SF i kolejne części 10-tomowego wydania Jacka Londona w twardej, żółtawej okładce z brązowym liternictwem. SF zacząłem czytać od wersji optymistycznej, a nawet utopijnej – zazwyczaj autorów radzieckich i polskich (np. Broszkiewicz), aż po pesymistyczną czy wręcz antyutopijną (późnego Lema, a Dicka praktycznie z każdego okresu, każdą powieść i opowiadanie, o ile zostały już wówczas przetłumaczone przez Lecha Jęczyka, którego dużo później poznałem osobiście jako malowniczą postać olszewickiej prawicy). W przeciwieństwie do Rafała Ziemiakiewicza nigdy nie lubiłem Zajdla i nie jest to uwaga ahistoryczna, ale całkowicie prawdziwa, tym bardziej że Ziemiakiewicza czasami nawet lubiłem, choć oczywiście jego SF nigdy nie było fantastyką „prawdziwą”.

W pierwszej licealnej zacząłem działać w Ogólnopolskim Klubie Miłośników Fantastyki i SF, stając się nawet w trzeciej licealnej szefem jego toruńskiego oddziału, który w mojej czwartej licealnej przekształciliśmy w czołowy rozsądek toruńskiej kontrkultury. Kiedy w 1978 roku na późnowieczornym niebie nad Toruniem rozpadł się widowiskowo na kilka płonących iskier jakiś solidny meteor, nasz oddział OKMFiSF zorganizował poświęcone temu wydarzeniu publiczne spotkanie w auli uniwersyteckiej. Pojawiły się na nim setki ludzi, nie tylko inteligentów, ale nawet kolejarzy ze stacji Toruń-Kluczyki i robotnic z nieistniejących już zakładów Elany i Merinoteksu. Defilowali przed mikrofonem, opowiadając o widzianych przez siebie tamtego wieczora wielkich kulach światła, lądujących spodkach, o dobiegających z tych kul i spodków zagadkowych dźwiękach... Prezentowali liczne świadectwa przeżyte przez nich silnie i autentycznie. To doświadczenie utrudniło mi potem

w ogromnym stopniu zbliżenie się do jakiegokolwiek religii objawionej, także przecież opartej na ludzkich świadectwach (nawet „ogień” bardzo wstrzemięźliwego, jeśli chodzi o objawienia, Pascala bardzo mnie zawsze w kontekście świadectw z auli uniwersyteckiej rozbawiał). W ogóle przedawkowanie SF wyprało mnie ze „słuchu”, zarówno „religijnego”, jak i „metafizycznego”. Liczyły się tylko technologia i nauka, nauka i technologia, no i oczywiście ich konsekwencje dla życia ludzkich społeczeństw.

Człowiek z Wysokiego Zamku Dicka dał mi do myślenia, jednak dopiero lektura Ubika tegoż autora wywołała we mnie coś w rodzaju doświadczenia religijnego (w wersji dostępnej czytelnikom SF). Doznałem ostrego zaburzenia poczucia rzeczywistości. Skończyłem czytać tę książkę nad ranem, a rano spakowałem chlebak (początkujący hipisi używali chlebaków jako tornistrów), ale zamiast do szkoły, wyszedłem na wylotówkę i wyjechałem z miasta stopem, szosą na Łódź przez Włocławek. Musiałem wszystko dobrze przemyśleć, skoro dotarło do mnie, że mój świat nie jest tym, czym sądziłem, że jest, natura jego istnienia w ogóle jest nieustalona (dużo później podobnego poczucia „wyzwolenia” doznałem przy lekturze Badań dotyczących rozumu ludzkiego Davida Hume’a, a jeszcze nieco później doznawałem go czasami przy Kancie, choć przy Humie było łatwiej, bo był zdecydowanie mniej skomplikowany i „kopa” uzyskiwało się bez większego wysiłku). Jednak nawet na tle Hume’a Ubika cechowała prostota komunikacyjna, a jednocześnie siła objawienia pierwotnych tekstów religijnych (a może gnostyckich, gdyby różnica rzeczywiście była aż tak wyraźnie ustalona). Przez długie lata (właściwie do dzisiaj) rozbrzmiewało (rozbrzmiewa) mi w głowie słynne graffiti z Ubika, wysmarowane na ścianie wychodka, do którego w pew-



nym momencie wchodzi bohater powieści: „Wskoczcie do klozetu / zanurzcie się w nim po szyję / wyście wszyscy pomarli, Panowie / ja jedyny żyję”, będące w istocie zakodowanym na sposób gnostycki komunikatem przekazanym grupie telepatów i przepowiadaczy przyszłości przez biznesmena, który ich zatrudnił. Jedynie w ten sposób mógł dostarczyć do ich świata informację, że w zamachu zorganizowanym przez konkurencyjną korporację oni wszyscy zginęli, a ich rozkładający się świat jest odpowiednikiem Bardo, krótkiego „życia po życiu”, które oddziela nas od nie wiadomo czego, od nie wiadomo jakiej jeszcze innej śmierci albo zmartwychwstania.

Nie byłem wierzący, nie byli wówczas wierzący moi rodzice, typowa dla PRL sekularyzacja, z której 20 lat później wskoczyliśmy wszyscy po szyję w „zemstę Boga”. Stąd też SF szybko stało się dla mnie substytutem tekstów religijnych. Jak wszystkie inne dzieci bałem się śmierci, szczególnie po tym, jak po raz pierwszy przyszło mi uczestniczyć w pogrzebie ciotki czy dziadka, ale szanse na życie wieczne widziałem jedynie – podobnie jak odkryci przeze mnie dużo później proletkultowcy – w rozwoju nauki, konkretnie genetyki, która już wkrótce pozwoli „zatrzymać biologiczny zegar śmierci”.

Najpierw czytałem SF optymistyczne, z obrazami utopii, począwszy od niejakiego Siergieja Sniegowa i jego powieści *Dalekie szlaki*. Zjednoczona oświeceniowa ludzkość nawiązuje tam pokojowe kontakty z licznymi cywilizacjami, tworzy kosmiczny odpowiednik Trzeciej Międzynarodówki, dopiero na dalekich krańcach kosmosu natrafiając na pierwszą wrogą i złą cywilizację Żyłwrogów, w tej powojennej radzieckiej powieści upozowaną oczywiście na hitlerowców.

Po utopii przyszły antyutopie. Już sam tylko Stanisław Lem pozwalał czytelnikowi przejść całą tę ścieżkę „dialektyki oświecenia”, od *Astronautów* i *Obtoku Magellana*, poprzez *Bajki robotów* i *Opowieści o pilocie Pirxie* (stosunkowo jeszcze optymistyczne), aż po jego zręczliwie i mizantropijnie późne „rozważania”. Jako dziecko przeczytałem opowiadanie Lema o pustynnej planecie, którą w wyniku „planowego rozwoju” przekształcono z pewną przesadą w planetę całkowicie zalaną wodą. Jej mieszkańcy musieli udawać, że wszystko jest w porządku i przypinać płetwy, oficjalnie utrzymując, że są one wynikiem naturalnej ewolucji. Czytałem to opowiadanie kompletnie bez świadomości jego zakodowanego politycznego znaczenia, które odkryłem dopiero na polonistyce, kiedy w bibliotecznych zbiorach zastrzeżonych znalazłem numer „Tygodnika Powszechnego” z października 1956 roku, wydany jeszcze z nagłówkiem „Kraków–Stalinogród”, i następny numer, już z nagłówkiem „Kraków–Katowice”, w którym po raz pierwszy opublikowane zostało to opowiadanie Stanisława Lema z *Bajek robotów*.

Zaczynałem zatem od Sniegowa, żeby skończyć na Dicku, po drodze zawadzając o wysoce dialektycznych i zawoalowanych braci Strugackich. Pierwszym załamaniem mojego dziecięcego oświeceniowego optymizmu SF

była jednak lektura powieści *Na srebrnym globie* Jerzego Żuławskiego w piątej czy szóstej klasie podstawówki. Ta zdecydowanie pesymistyczna polska odpowiedź na Verne’a zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Do dziś pamiętam wielokrotnie powracający koszmar, w którym prześladowały mnie duchy poległych kosmonautów (tych z drugiego pocisku, który rozbił się przy lądowaniu), tak jak je sobie wyobraziłem w trakcie lektury Żuławskiego, czyli jako rozkładające się ludzkie zwłoki w kosmicznych skafandrach (prawdziwy oksymoron pesymistycznego barokowego wyobrażenia śmierci i optymistycznej oświeceniowej technologii).

Zapamiętałem oczywiście z tamtego okresu opowiadanie *Kwiaty dla Algernona* Daniela Keyesa. Do tej pory nieco obsesyjnie, w kategoriach w oczywisty sposób od Keyesa zapożyczonych, myślę o własnym życiu jako rozpiętym pomiędzy heroicznymi podskokami w stronę doskonałości i wiedzy a osuwaniem się w naturalny potencjał półdebiła z underklassy.

Sniegowowi zawdzięczam z kolei matrycę moich związków z kobietami. W jego powieści bardzo sugestywnie – szczególnie dla czytelnika dziewięcioletka – zostaje opisany międzygatunkowy platoniczny romans radzieckiego bohatera z „węzopanną z Węgi”. Ostatecznie zwycięża natura i towarzyszką życia bohatera książki zostanie jego ludzka koleżanka z pracy, jednak od czasu tamtej lektury przemawiały do mnie opisywane z upodobaniem także przez innych autorów SF romanse międzyplanetarne i międzygatunkowe (z kobietą kotem z obcej galaktyki, pokrytą futrem, ale za to o cudownych oczach, opisaną w innej, nie pamiętam już czyjej powieści SF, łączą się nawet moje pierwsze dziecięce fantazje erotyczne).

Drugą ścieżką lekturową mojego dzieciństwa, nieco bardziej „realistyczną”, stały się stojące na półce biblioteki moich rodziców (niezbyt, muszę przyznać, obficie zaopatrzonej, jak to często bywało u PRL-owskiej inteligencji z awansu, której ja sam jestem dopiero drugim pokoleniem) kolejne części 10-tomowego wydania *Dzieł wybranych* Jacka Londona, pisarza bardzo modnego w PRL z uwagi na jego umiarkowanie postępowe poglądy.

W naszej domowej bibliotece stało też kilka tomów Puszkina, o ile pamiętam w buraczkowych, twardych okładkach, ale jego mowa wiązana okazała się dla mnie w podstawówce lekturą zbyt trudną. Za to wielokrotnie przeczytałem ostatnią ze znajdujących się w bibliotece moich rodziców pozycji, *Podbój Peru* Williama H. Prescottta z tak zwanej serii ceramowskiej (dialektyka kolonizacji, ale przede wszystkim szczegółowo opisane bitwy i strategię Hiszpanów oraz Inków).

Jednak to London stał się drugim obok SF wymiarem mojego dojrzewania. Pierwszą książką w życiu, którą w ogóle przeczytałem, był *Bellew Zawierucha*. Potem *Biały Kieł* (z tego samego IV tomu *Dzieł wybranych*), którego jednak polubiłem zdecydowanie mniej. Nienawidziłem jako dziecko czytać książek (i oglądać filmów) przedstawiających niezawinione cierpienia zwierząt (cierpienie ludzi od samego początku wydawało mi się zawsze w jakiś dziwny sposób „zawinione”). Może dlatego nienawidziłem też puszcanych wówczas w telewizji radzieckich filmów wojennych, bo w każdym z nich naziści musieli w końcu zastrzelić jakiegoś sympatycznego radzieckiego psa. Oczywiście byłoby przesadą twierdzenie, że ta intuicja pojawiła się u mnie wówczas na sposób refleksyjny czy choćby jasno dla mnie samego wyartykułowany, ale nie rozumiałem, dlaczego „trzeba je mieszać do tego wszystkiego”.

Zatem opowiadania Londona o zwierzętach czytałem z ogromną przykrością, nawet te, które ostatecznie dobrze się kończyły. Zawsze jednak pozostawały jego opowiadania i powieści o ludziach nie tak bardzo psychologicznie skomplikowanych, żeby zrozumienie motywacji ich działań przekraczało możliwości ucznia podstawowej szkoły muzycznej. Zacząłem moją przygodę z Londonem od *Bellewa Zawieruchy* w okolicach drugiej klasy, a kończyłem w siódmej czy ósmej na *Księżycowej Dolinie*, najbardziej klasycznym w twórczości tego pisarza melodramacie czy wręcz harlequinie. Po drodze były opowiadania o włóczeniu się „pod pokładami” amerykańskich pociągów, o nielegalnym poławianiu ostryg na Zatoce San Francisco, a także *Wilk morski*, którego nietzscheańskie przesłanie zrozumiałem oczywiście dopiero dużo później, czy *Martin Eden* (zawsze w jakiś sposób ta powieść przypominała mi *Kwiaty dla Algernona*), z którego zaczerpnąłem zachwyt arywizmem i świadomość tragizmu będącego nieubłaganą konsekwencją arywistycznego resentymetu. Przeczytałem wówczas nawet *Johna Barleycorn*a (tom X), autobiograficzną opowieść o alkoholizmie Londona, który sprawił, że ten pisarz stał się jednym z liderów purytańskiego ruchu domagającego się wprowadzenia w USA prohibicji. Lubiałem tę książkę i jakoś tam próbowałem ją nawet zrozumieć, pomimo że w podstawówce żadnego alkoholu nie piłem.

Nie wiedzieć czemu najbardziej spodobał mi się jednak tom VI (były numerowane po rzymsku), w którym znajdowały się *Żelazna stopa* i *Mieszkańcy otchłani*. *Żelazna stopa* była powieścią z gatunku political fiction o korporacyjnym kapitalizmie w Ameryce, przybierającym w nieodległej przyszłości formy całkowicie już oligarchiczne i zrywającym z siebie maskę demokracji. Ja oczywiście nie miałem wówczas

## 42 CzasKultury 2/2011

pojęcia o istnieniu kapitalizmu korporacyjnego, oligarchicznego ani w ogóle żadnego, więc czytałem tego Londona jak jeszcze jedną powieść SF o świecie z arbitralnie ustalonymi parametrami wiedzy i władzy.

Mieszkańcy otchłani to z kolei fascynująca powieść-reportaż. London z zaszytym w podkoszulku złotym suwerenem na czarną godzinę i kilkoma miedzakami w kieszeni na dobry początek wsiąka w życie mieszkańców londyńskiego East Endu, najbiedniejszej wówczas dzielnicy zamieszkiwanej przez angielski lumpenproletariat, żeby „żyjąc tak jak oni”, napisać na podstawie tej „obserwacji uczestniczącej” pamfletowy reportaż o rozwarstwieniach klasowych ówczesnej Anglii, adresowany do nieco bardziej demokratycznych i postępowych amerykańskich czytelników. Szczególnie dobrze pamiętam scenę, gdzie „przyciśnięty” London – któremu jednak nie idzie aż tak dobrze z zebraniem, bo już od zbyt dawna jest wziętym amerykańskim pisarzem – pożyczonym od jakiegoś bezdomnego nożem wycina sobie złotego suwerena z bielizny. Grupa jego przypadkowych towarzyszy rozstępuje się wokół niego z szacunkiem, ale i przerażeniem, dochodząc do wniosku, że ten płaczący się wśród nich od paru tygodni sympatyczny prol z Ameryki jest w istocie jakimś psychopatycznym mordercą, krwawym bandytą, który mając na sumieniu jakieś straszliwe zbrodnie popełnione za oceanem, ukrył się w otchłaniach East Endu, a złoty suweren – to przekraczające ich wyobraźnię bogactwo – stanowi resztę jego łupu.

Ponieważ przez ładnych kilka lat czytałem wyłącznie SF i kolejne tomy Jacka Londona, a to nie jest dużo, jeśli czyta się szybko, właśnie wtedy nabrałem zwyczaju „zapętlania lektury”, czytania co jakiś czas tej samej książki z porównywalną przyjemnością, a czasami

rozpoczynania lektury dosłownie parę dni po jej zakończeniu, aż do momentu, gdy zna się już całą książkę na pamięć i po prostu mdli cię z przedawkowania, kiedy ją otwierasz. Dzięki rozwojowi techniki zacząłem podobnie „zapętląć” moje ulubione utwory muzyczne, poważne i rockowe, ale pełnię satysfakcji w tym względzie osiągnąłem dopiero wraz z natrafieniem we Francji na nową technologię CD, całe wieki później.

Dopiero w czasie wakacji pomiędzy trzecią a czwartą klasą liceum dostałem do ręki od pewnej dziewczyny Edwarda Stachurę. W tym samym czasie, jak wszyscy hipisi-nowofalowcy z północnoeuropejskiego miasta Torunia, obejrzałem wszystkie nakręcone wówczas filmy Wernera Herzoga, przeczytałem Wilka stepowego, Pieśni Maldorora, Po tamtej stronie, a nawet Na wspak. A potem poprzez Żeromskiego i Witkacego, a następnie przez Głowackiego (wspaniałe nihilistyczne opowiadania z tomu *My sweet Raskolnikow*), Krynickiego (ale tylko *Organizm zbiorowy*) i Barańczaka (ale tylko *Dziennik poranny*) dowiedziałem się, że mieszkam w Polsce i co to oznacza. W ten sposób stałem się człowiekiem w dużym przybliżeniu dorosłym i w dużym przybliżeniu takim jak inni. A w każdym razie zestaw moich lektur stał się nieco bogatszy. ○

